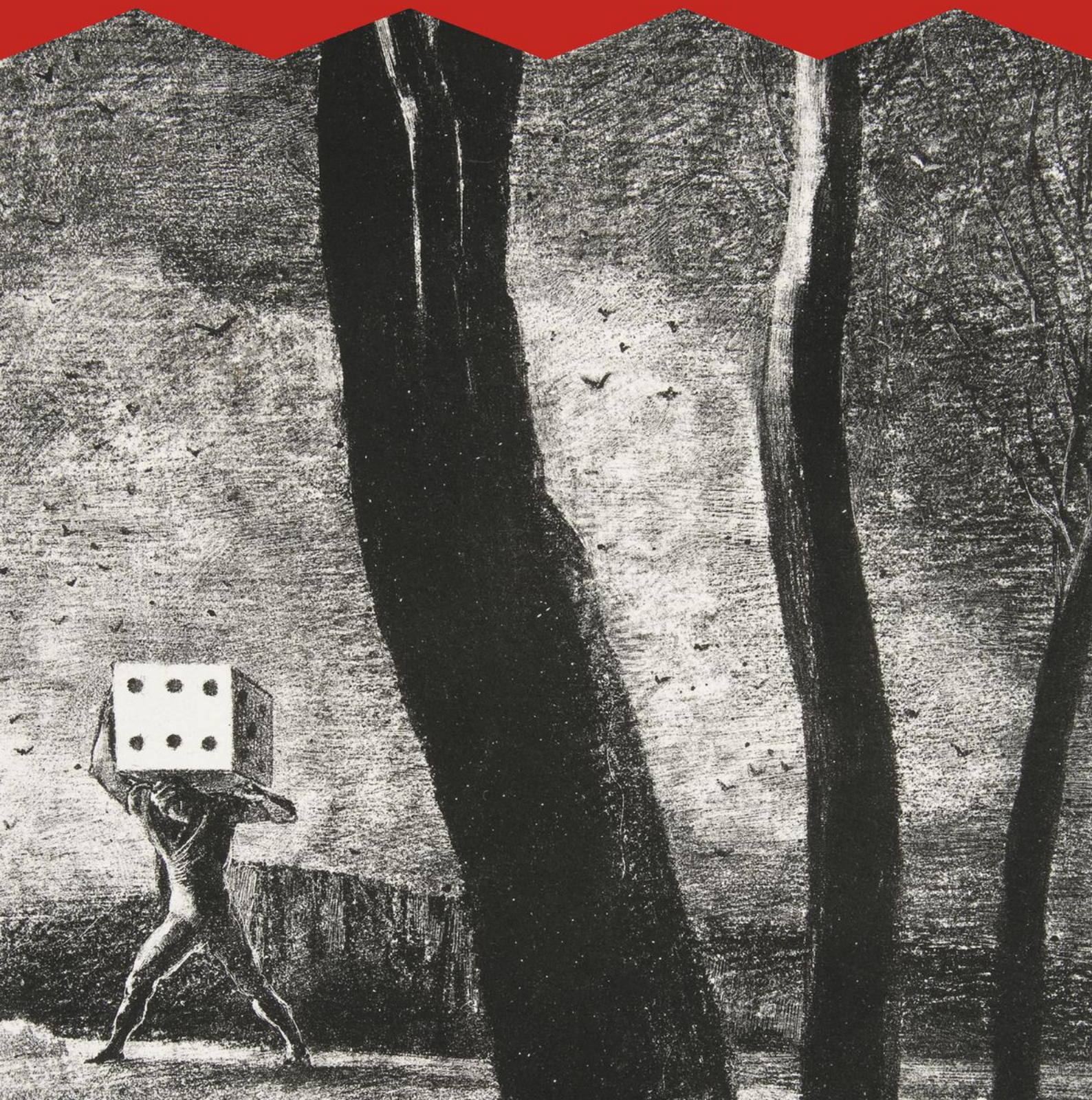


Ulica Conrada



WOJCIECH ORLIŃSKI

Ulica Conrada

Samolot zszedł poniżej poziomu chmur i za oknami pojawiła się ziemia. Schyliłem się do szyby. Wyjechałem z Polski siedem lat temu, w jednym z ostatnich transportów uchodźców. Odwlekałem tę chwilę, ale wtedy już było wiadomo, że niedługo zamkną granicę, nie było sensu dłużej czekać.

W Warszawie trzymała mnie irracjonalna nadzieja. Każdy mieszczanin chyba chce wierzyć, że jego miasto jest wieczne, że go przetrwa, że będą się nim cieszyć jego dzieci i wnuki, i dalsze pokolenia.

Widziałem zagładę Warszawy na własne oczy, więc już nigdy nie będę myśleć tak o żadnym mieście. Ani o Berlinie, do którego nas ewakuowano, ani o Londynie, do którego docelowo trafiłem, ani o Rzymie, w którym teraz wsiałem do samolotu, korzystając z jedyne go dostępnego dla cywilów połączenia do Warszawy.

To też irracjonalne: że już nie ma Warszawy, nie znaczy jeszcze wcale, że kiedyś nie będzie też Londynu. Ale ludzie nie są racjonalni.

Wywieźli nas pociągiem. Wtedy też patrzyłem przez okno. Najbardziej mi zapadły w pamięć samochody. Trupy zazwyczaj nie leżały na ulicy, choroba nie zabijała od razu. Człowiek najpierw czuł się senny i osłabiony, próbował gdzieś usiąść, odpocząć. Instynktownie chronił się w jakimś pomieszczeniu — w domu, w pracy, w kawiarni.

Wyjątkiem byli ci, których śmierć dopadła za kierownicą. Ginęli w wypadkach albo zjeżdżali na pobocze myśląc, że potrzebna jest im chwila drzemki, z której się już nie budzili.

Ulice były pełne samochodów rozbitych albo stojących pod dziwnym kątem. Nikt ich nie sprzątnął przez kilkanaście miesięcy od wybuchu epidemii. Sądząc z tego, co zobaczyłem z okien samolotu, nie sprzątnię ich już nikt.

Zniżyliśmy się do lotniska w Modlinie, przelatując nad dalekimi przedmieściami Warszawy. Kiedy jeszcze mieszkałem na Conrada, dojeżdżałem tutaj na rowerze. Pamiętałem nazwy tych miejscowości: Kazuń, Czosnów, Łomianki, ale nawet wtedy nie umiałbym ich rozpoznać z samolotu. Tym bardziej teraz, po tylu latach.

Na pierwszy rzut oka było widać, że zieleni jest więcej niż kiedyś. Puszcza Kampinoska pożerała podmiejskie ogrody. Widać było, że już niedługo odzyska wszystko, co jej setki lat temu odebrano. Czyli właściwie całą Warszawę.

Widok był niemalże sielski — znów z wyjątkiem samochodów. Nawet z tej wysokości było widać nieład panujący na podmiejskich uliczkach i na ekspresowej drodze na Gdańsk. Wraki porzucane były w nieładzie, jakby dziecko znudziło się zabawkami.

Inni pielgrzymi w samolocie też w milczeniu patrzyli przez okna. Nie wszyscy byli Polakami, na lotnisku i na pokładzie zdążyłem usłyszeć strzępki rozmów po angielsku, po włosku i po hiszpańsku. Nie dla wszystkich więc miało to takie znaczenie emocjonalne, jak dla mnie, ale śmierć ma swój uniwersalny język, rozumiały dla każdego.

Wylądowaliśmy w Modlinie. Jak każdy, wołałbym Okęcie, ale Bractwo Santa Hermandad zamknęło je do odwołania. Oficjalnie z przyczyn technicznych, ale pewnie tak naprawdę chodziło o to, że Okęcie leży zbyt blisko terenów kontrolowanych przez powstańców.

Po schodkach zesliśmy na płytę lotniska. Pierwsze, co zobaczyłem, to ruiny nowoczesnego terminala. Nie chciało im się ich wyburzyć, ani nawet czymś zasłonić. Myślałem, że chociaż podstawią pod nas jakiś autobus, ale zamiast tego na płycie powitało nas kilku smutnych Latynosów w mundurach Santa Hermandad. Gestem wskazywali pro-

Miasto

Natura, Las

wizoryczny barak z godłem Bractwa i napisem po polsku, po łacinie i po hiszpańsku: „WITAMY PIELGRZYMÓW NA ZIEMI ŚWIĘTEGO WOJCIECHA”.

Ruszyliśmy z bagażami gęsiego w stronę baraku. Czekali tu na nas agenci Bractwa, też Latynosi. Każdy miał swoje biurko, otoczone niewysokim ogrodzeniem, tworzącym coś przypominającego boksy w redakcyjnym *open space*, w którym pracowałem przed epidemią. W każdym boksie — krucyfiks, logo Bractwa i portret papieża Franciszka III.

Wciąż pamiętałem, jakim szokiem był wybór pierwszego Franciszka, który za życia jeszcze nie miał numeru przy imieniu. Papież spoza Europy! Nie do pomyślenia! Teraz, kiedy zaraza zdziesiątkowała Kościół w Europie, sensacją była obecność na konklawe jednego czy dwóch kardynałów ze starego kontynentu. Kościół katolicki stał się kościołem latynoamerykańskim. Kiedyś nieubłagane zasady demografii uczynią go kościołem afrykańskim, ale na razie Latynosi rządzą nim do tego stopnia, że Watykan doczekał się ironicznego przydomka „*Ciudad Vaticano*”¹.

Po kwadransie przyszła moja kolej. Jeden z celników zamachał na mnie ze swojego boksu, wołając po polsku „Następny!”. Gdy zobaczył w moim dokumencie podróży, że przybyłem tu z Londynu, przeszedł na angielski, co mi nie przeszkadzało.

Byłem tu pierwszy raz, ale opowiedziano mi, jak się zachowywać podczas kontroli. Nie czekając na polecenie rozpakowania bagażu otworzyłem torbę podróżną i wyjąłem z niej saszetkę, w której miałem dwadzieścia dwa krugerrandy. Ułożyłem je na biurku w równych kupkach, żeby agent wyraźnie widział, że jest ich dwadzieścia plus dwa.

— Deklaruję dwadzieścia złotych monet — powiedziałem. Agent ceremonialnie wpisał to do formularza i skinął ręką. Schowałem dwadzieścia monet z powrotem do saszetki, a saszetkę włożyłem do torby. Dwie monety zostały na biurku. Celnik od niechcenia przykrył je tekturową teczką.

— Jeśli przywozi pan jakiś elektroniczny sprzęt, w pańskim interesie jest to, żebym go również wpisał do deklaracji — powiedział. — Inaczej będzie miał pan kłopot z wywiezieniem go.

— Nie zamierzam niczego stąd wywozić — odpowiedziałem, zgodnie z prawdą. Kiwnął głową, jakbym powiedział najoczywistszą rzecz na świecie i wbił mi stempel do dokumentu podróży.

— Witamy na ziemi świętego Wojciecha! — powiedział radośnie, wręczając mi go z powrotem.

Przy wyjściu z baraku czekał już na nas autobus w barwach Santa Hermandad. Zawiózł nas do Domu Pielgrzyma opodal lotniska. Do spotkania z moim kontaktem miałem jeszcze dobre dwie godziny, wykorzystałem je na odświeżenie się w przydzielonym mi pokoju. Miałem świadomość, że to moje ostatnie na bardzo długo, a może na zawsze, chwile spędzone w cywilizacji.

Odkręcając przysznicowy kurek z napisem „*agua caliente*”² uświadomiłem sobie, że jeszcze nie byłem w żadnym budynku wzniesionym już po zarazie. Nawet w miastach, w których było stosunkowo mało ofiar, jak Berlin czy Londyn, epidemia spowodowała spustoszenie na rynku nieruchomości. W Europie niczego już nie opłacało się budować, nie produkowano więc też mebli czy armatury łazienkowej. Sądząc po etykietach w moim pokoju, Bractwo musiało wszystko sprowadzać z Ameryki Łacińskiej.

Dzięki temu jednak w pokoju pachniało świeżością. Już zdążyłem zapomnieć ten zapach!

Zapomniałem też inny zapach, a raczej smród. W sali jadalnej na parterze, w której umówiłem się na spotkanie, powietrze było aż siwe od zapachu papierosów, cygar i fajek. Na terenie kontrolowanym przez Bractwo nie obowiązywały europejskie zakazy.

Trzymałem w ręce *Jądro ciemności* Josepha Conrada. Tak się umówiłem ze swoim kontaktem, po tym miał mnie rozpoznać. To był mój pomysł — skoro celem mojej wyprawy była ulica Conrada. Czytałem to przedtem tylko raz, w liceum, jako obowiązkową lekturę.

Odświeżyłem sobie *Jądro ciemności* teraz w samolocie. Może to świat się tak bardzo zmienił od moich czasów licealnych, a może to ja się tak zmieniłem, ale dopiero teraz

Interes, Handel,
Kolonializm

¹*Ciudad Vaticano* (hiszp.) — Miasto Watykan. [przypis edytorski]

²*agua caliente* (hiszp.) — gorąca woda. [przypis edytorski]

uderzył mnie razem tej książki. Dla narratora całe zło kolonializmu zdawało się sprowadzać do tego, że biali ludzie tracą w Afryce swoją cywilizacyjną wyższość i upodobniają się do otoczenia.

To, że źródłem problemów jest raczej korporacyjny wyzysk, którego ofiarami padają (oczywiście w różnym stopniu) zarówno czarnoskórzy niewolnicy, jak i ich białoskórzy nadzorcy, a także główny bohater, wysłany przez firmę w bezsensownej misji — autorowi zdawało się w ogóle nie przychodzić do głowy. A przecież dla korporacji oni wszyscy są tylko pozycjami w rubryce „koszty”, które nieustannie trzeba redukować.

Zabawnie czytało się to teraz, kiedy zaraza unicestwiła tamten świat, razem z tak zwaną białą rasą. Nie było już „brzemienia białego człowieka”, bo nie było białego człowieka, w każdym razie w takim sensie, w jakim to rozumiał Conrad.

Naukowcy spierali się ciągle, co właściwie się stało. Ale udało im się tylko wymyślić ładną, naukową nazwę: wirus śpiączki haplospecyficznej, HSCV. Działał śmiertelnie tylko na ludzi, którzy i po ojcu, i po matce odziedziczyli geny występujące wyłącznie wśród tak zwanej rasy kaukaskiej. Cała reszta, czyli wszyscy żyjący dziś ludzie, byli biernymi nośicielami. Pierwsze zachorowania były w Europie Wschodniej, która w XXI w. zachowała względnie etniczną jednorodność.

Tutaj zaraza spowodowała największe spustoszenie. Po ulicach Paryża, Nowego Jorku czy Londynu chodzili ludzie o różnych kolorach skóry, z genami będącymi mieszkaniem z wszystkich kontynentów. Tam więcej ludzi ocalało — a w Warszawie czy w Budapeszcie zginęli prawie wszyscy, poza mieszkańcami takimi jak ja.

Zamówiłem w barze kawę i usiadłem w stosunkowo najmniej zadymionym miejscu. *Jądro ciemności* położyłem na stoliku tak, żeby było je widać z daleka.

Niepotrzebnie, mój kontakt obserwował mnie już od jakiegoś czasu. Był młodym, przystojnym Latynosem w mundurze Bractwa. Stał przy barze z kieliszkiem czerwonego wina.

Przedstawił się jako Jorge i zaczął mówić do mnie po hiszpańsku. Przerwałem mu po angielsku.

— Mam hiszpańskie nazwisko, ale to po ojcu, kubańskim dyplomacie. Jestem Polakiem.

— Polakiem? — zdziwił się Jorge — Takiego kraju nie ma już na mapie. Mieszka pan w Londynie, więc jest pan Brytyjczykiem.

Nie chciało mi się z nim kłócić o politykę, bo przecież nie spotkałem się z nim tutaj dla przyjemności. Oczywiście, nie miał racji, nie przyjąłem brytyjskiego obywatelstwa, podróżowałem na paszporcie nansenowskim³, jak poprzednie pokolenia bezpieczeństwa Polaków. Zresztą nic nie wskazywało na to, że Jorge chciał obrazić moje uczucia, bo kontynuował po tym rozmowę jakby nigdy nic.

— Zanim dobijemy targu, musimy ustalić jedną rzecz. Co pan wie o Warszawie?

— Poza tym, że w tym mieście spędziłem pierwsze czterdzieści lat życia? — odpowiedziałem, rozbawiony samym pytaniem.

— To już nie jest ta sama Warszawa — powiedział Jorge z namaszczaniem godnym zakonnika. — Nie wiem, jak dalece pan sobie uświadamia to, że do tamtych lat już nie ma powrotu.

— Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy? Myślałem, że to prosta transakcja. Płacę panu umówioną sumę, a pan mnie zabiera w ustalone miejsce. Wszystko przecież już uzgodniliśmy przez internet.

— Nie, nie wszystko i bardzo wyraźnie to podkreślałem przez internet — odpowiedział Jorge. — Transakcja, o której rozmawialiśmy, jest niezgodna z prawem. Obaj możemy mieć z tego powodu nieprzyjemności. A co za tym idzie, to nie jest zwykła transakcja kupna i sprzedaży. Z mojej strony wygląda to prosto, ale na wszelki wypadek powtórzę: pan mi płaci dziesięć krugerrandów, a ja zabieram pana do kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych. Teraz niech mi pan pomoże zrozumieć pańskie intencje.

³paszport nansenowski — wprowadzony został w 1922 r. z inicjatywy podróżnika Fridtjofa Nansena między narodowy dokument tożsamości, w okresie międzywojennym wydawany uchodźcom i bezpaństwowcom przez państwa ich pobytu. [przypis edytorski]

— To chyba nie jest przesadnie skomplikowane — wzruszyłem ramionami — chcę panu zapłacić w zamian za przemycenie mnie do tego miejsca. Coś tu niejasnego?

— Jedna istotna kwestia. Czy zamierza pan wrócić?

— Czy to ważne? Rozumiem, że umawiamy się na bilet w jedną stronę i akceptuję to.

Jorge westchnął.

— Dlatego właśnie na początku zapytałem, co pan wie o Warszawie. Tej obecnej, wymarłej, o mieście duchów, które zajęło miejsce Warszawy z pańskich wspomnień. To bardzo niebezpieczne miejsce.

— Jestem tego świadom.

— Nie jestem pewien, bo widziałem już podróżnych takich jak pan, których przygnały do Warszawy jakieś dziwne sentymenty, chcieli jeszcze raz spędzić noc w swoim starym domu i tak dalej, a potem przedzierali się do naszych posterunków, błagając o ratunek. W takiej sytuacji pojawia się oczywiście pytanie, skąd taka osoba się tu w ogóle wzięła, kto ją przemycił poza zieloną strefę. Jak się pan domyśla, bardzo by mi to było nie na rękę, gdybym z pańskiej winy sam został przedmiotem takiego dochodzenia.

— Proszę być spokojnym. Nie wrócę do was, błagając o ratunek.

— I ta odpowiedź mnie właśnie niepokoi, bo to znaczy, że albo pan lekceważy zagrożenia, albo ma pan na nie jakiś inny sposób.

— Z całym szacunkiem, bracie Jorge, to wszystko moje zmartwienia.

— Moje też. Nawet jeśli grzeszę i łamię zaufanie okazane mi przez Bractwo, przemycając kogoś poza granice zielonej strefy, to jednak przysięgłem strzec bezpieczeństwa pielgrzymów wędrujących przez ziemię świętego Wojciecha. Po to przecież powołano Bractwo, żeby jak jego średniowieczny poprzednik, chroniło pielgrzymów. Nawet tych, którzy zblądzili ze szlaku.

— Ten konkretny podróżnik płaci panu za to, żeby przestał się nim pan troszczyć.

— Ale dlatego takie ważne jest dla mnie to, żeby się upewnić, czy wie, co to znaczy. Przede wszystkim nie wiem, czy jest pan świadom, że poza zieloną strefą śmiertelnym, i to nie jest przesada, śmiertelnym zagrożeniem są zwierzęta. Warszawskie psy zdziczały i zasmakowały w ludzkim mięsie, bo tym się głównie żywiły w pierwszych miesiącach po zarazie. Teraz mają inne pożywienie, bo gdy wymarli ludzie, odrodziły się zwierzęta, do których kiedyś należały te tereny — zające, jelenie, dziki i tak dalej. W lasach odrodziły się wilki, ale w mieście nadal rządzą psy.

— Spędziłem w Warszawie pierwszy rok po zarazie. Nie musi mi pan tego wszystkiego tłumaczyć — przerwałem mu.

— OK, czyli to mamy uzgodnione: że poza zieloną strefą prawdopodobnie nie dożyje pan zachodu słońca, bo wcześniej rozszarpia pana zdziczałe psy. One atakują stadami, wie pan. To nie jest tak, że weźmie pan kija i je odpędzi. Ja się ich boję, chociaż mam broń palną, której pan, mam nadzieję, nie ma, bo to by nas przenosiło na inny poziom nielegalności. A po zachodzie słońca pańskie szanse na przeżycie będą jeszcze mniejsze, bo one pana wszędzie wytropią.

— Skoro mnie rozszarpia, to tym bardziej nie dojdę do waszego posterunku, prawda?

— Ale skoro pana to nie przeraża, to znaczy, że ma pan na to jakiś sposób. I to mnie niepokoi jeszcze bardziej, bo teraz muszę pana spytać, co pan wie na temat Amera Al-Tawila?

Uśmiechnąłem się, bo teraz trafił w punkt. Zналиśmy się z Amerem od prawie czterdziestu lat.

„Znajomość” to może za dużo powiedziane. Byliśmy rówieśnikami z tego samego osiedla, chodziliśmy do tej samej podstawówki — ale do różnych klas, a potem do tego samego liceum, też do różnych klas.

To była ostatnia dekada PRL, kiedy obcokrajowców widywało się w Warszawie rzadko, a co dopiero obcokrajowców o innym kolorze skóry. Jako jedyni dwaj nie-biali chłopcy w naszym roczniku, w pewnym sensie byliśmy skazani na to, żeby się poznać. Ja byłem pół-Kubańczykiem, a on pół-Arabem, a tak poza tym oczywiście byliśmy wychowywani po polsku, bo jego ojciec miał taką samą ochęć na powrót do Iraku, jak mój na powrót na Kubę.

Nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy. Woląłem otaczać się polskimi przyjaciółmi, on chyba też. Zresztą poza samą odmiennością nic nas nie łączyło — ja słuchałem punka, on popu, ja byłem mołem książkowym, on sportowcem-amatorem.

Po zmianie stroju ja zostałem na osiedlu, on gdzieś się wyprowadził. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy. Miesiąc temu nagle odezwał się do mnie przez internet. Odnalazł mnie w Londynie, gdzie ja od lat bez powodzenia próbowałem odnaleźć siebie.

Miałem jakąś tam pracę i jakieś tam życie, ale jak wielu w moim pokoleniu czułem nieuleczalną nostalgię za światem, który przepadł w zarazie. Wiedziałem, że tamtej Warszawy już nie ma, brat Jorge nie musiał mi tego uświadamiać — widziałem przecież zagładę tego miasta na własne oczy. Ale kiedy Amer mnie zaprosił, dokładnie instruując, jak to załatwić i komu ile dać w łapę, podjąłem decyzję w ciągu jednej bezsennej nocy.

Teraz, kiedy zaraza pochłonęła wszystkich moich bliższych i dalszych polskich znajomych, Amer stał się dla mnie jedynym „przyjacielem z dzieciństwa”. I — jak sądzę — ja nim byłem dla niego, choć w dzieciństwie omijaliśmy się z daleka.

Więc co mogłem odpowiedzieć na zadane mi teraz pytanie, co wiem na temat Amera Al-Tawila?

— Pierwsze słyszę — odparłem, patrząc Jorgemu z uśmiechem prosto w oczy.

— W takim razie przykro mi, ale nie mogę panu pomóc — Jorge wstał od stolika.

Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Amer uprzedził mnie, że kiedy braciszkwowie z Santa Hermandad dowiadują się, że mają robić interesy z kimś, kto technicznie rzecz biorąc jest ich wrogiem, będą się chcieli wycofać. Wtedy należy po prostu podwoić stawkę, co też zrobiłem.

— Dwadzieścia krugerrandów — odpowiedziałem.

— *Twenty? Veinte?* — upewnił się Jorge po angielsku i po hiszpańsku. Dwukrotnie kiwnąłem głową, a potem jeszcze dodałem „dwadzieścia” po polsku.

Braciszek usiadł. Uśmiechnąłem się — pewne rzeczy się nie zmieniają, nawet po apokalipsie.

— Skoro jestem płacącym klientem, to chyba powinno być inaczej, bracie Jorge — powiedziałem. — Pan mi powinien powiedzieć, co pan wie na temat Amera Al-Tawila. Jestem przecież tylko zagubionym pielgrzymem na ziemi świętego Wojciecha. Rycerz powinien udzielić porady strapionemu, prawda?

— No dobrze, choć podejrzewam, że pan wie więcej od nas. Z naszego punktu widzenia, Amer Al-Tawil jest najbardziej niebezpiecznym powstańcem. *El insurgente* — dodał po hiszpańsku.

— Nie powinniście ich nazywać „*bandidos*”? — uśmiechnąłem się.

— Proszę nie robić z nas nazistów — prychnął Jorge. — Powstańcy tak nas nazywają, bo ukradli symbolikę poprzedniego powstania warszawskiego. Ale my nie przyjechaliśmy tutaj, żeby kogokolwiek zabijać. Jesteś tu, żeby chronić ludzi.

Lata spędzone w Londynie sprawiły, że miałem na to już tylko jeden rodzaj riposty.

— *But of course*⁴ — uśmiechnąłem się szyderczo. Jorge udał, że nie rozpoznał mojego sarkazmu. A może naprawdę nie rozpoznał? W każdym razie perorował bez chwili zawahania.

— Większość powstańców działa w ramach zorganizowanych struktur, głównie w rejonie Ursynowa i Mokotowa. Działają wbrew prawu, ale przynajmniej można z nimi się dogadać. Amer działa na własną rękę. Znalazł kilkudziesięciu wyznawców, opanował stare carskie forty Wawrzyszew, Babice i Grotty. Czy te nazwy coś panu mówią? — nagle przerwał.

I cóż mu mogłem odpowiedzieć? Poprawić jego wymowę? Że nie Łotrjasef, na litość boską, tylko Vavrsheshev, i nie Bebajsy, tylko Bahbeetze? W dzieciństwie objeżdżiłem te forty na rowerze, w młodości piłem w nich tanie wino z kolegami, a czasem nawet koleżankami. Wiedziałem, gdzie można schłodzić butelki w fosie, a gdzie można dostać po ryju od osiedlowych dresiarzy. Cała ta wiedza dotyczyła świata, który przepadł na zawsze. Zamiast się nią dzielić, odpowiedziałem więc po prostu:

— Proszę mnie oświecić.

Wróg, Pieniądz, Interes,
Koniec świata

⁴*but of course* (ang.) — ależ oczywiście. [przypis edytorski]

— To element pierścienia umocnień wybudowanych przez Rosjan pod koniec XIX wieku, w oczekiwaniu pierwszej wojny światowej. Rosjanie w końcu z nich w ogóle nie skorzystali, opuścili Warszawę bez walki. Polskie wojsko potem urządziło tam różne magazyny. Al-Tawil je zajął, przechwycił też uzbrojenie z innych jednostek wojskowych. Jego grupa ma więcej broni niż wszyscy powstańcy warszawscy razem wzięci.

— To chyba dobrze w postapokaliptycznych czasach?

— To nie była apokalipsa, tylko epidemia HSCV — poprawił mnie brat Jorge, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. — Nie uzasadnia łamania prawa. W ruinach Warszawy bez naszego zezwolenia nie wolno nawet przebywać, nie mówiąc już o jakiejś zabawie w partyzantkę. Chcemy uniknąć rozlewu krwi, ale nasza cierpliwość jest ograniczona. Pan się zamierza spotkać z Al-Tawilem, prawda?

Nie odpowiedziałem. To było zresztą pytanie retoryczne. Brat Jorge zrobił pauzę na łyk wina i kontynuował.

— Uznam to za potwierdzenie. Proszę mu przekazać, że wiemy, że on oczyścił pas startowy lotniska Bemowo i zaczął eksperymentować z dronami. Nie możemy mu na to pozwolić. Nie będziemy się bawić w szturmowanie tych jego fortów. Zbombardujemy to wszystko z powietrza, aż nie zostanie kamień na kamieniu z Bemowa i Wawrzyszewa.

— Świetny sposób na unikanie rozlewu krwi — mruknąłem.

— W pierwszej kolejności chcemy unikać rozlewu naszej krwi. W chrześcijaństwie nazywamy to zasadą *ordo caritas*⁵ — brat Jorge uśmiechnął się zimno. — Czy przekazać mu pan to ostrzeżenie?

— Nie wiem, czy go znaję. Wawrzyszew, Chomiczówka, Bemowo, to są wielkie osiedla, tam przed zagładą mieszkały setki tysięcy ludzi.

— To też uznam za potwierdzenie. W takim razie, skoro podstawowe kwestie mamy już uzgodnione, pozostają szczegóły techniczne... — powiedział i rzeczywiście przez resztę wieczoru omawiał ze mną szczegóły podróży do kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych na ulicy Conrada 7, jakby była to zwykła wycieczka turystyczna.

Rozstaliśmy się i samotnie zjadłem kolację. Choć to pewnie miała być moja ostatnia noc w porządnym łóżku, nie mogłem zasnąć. Myślałem o bracie Jorge.

Takich ludzi nazywano „ludźmi renesansu”. Nie chodziło o ich wszechstronność, tylko o analogię — moim zdaniem naciąganą — z epidemią Czarnej Śmierci z XIV wieku. Podobno bez Czarnej Śmierci nie byłoby wymiany elit, a więc średniowiecze nigdy by się nie skończyło.

„Ludzie renesansu” podobnie widzieli współczesność. Mojemu pokoleniu zawałił się cały świat, a oni widzieli w tym szansę dla siebie. Widać było, że brat Jorge świetnie się czuł jako skorumpowany funkcjonariusz zbrojnego Bractwa, które było *de facto* armią okupacyjną. Nie miał wyrzutów sumienia, w swoim mniemaniu był zapewne prawym człowiekiem, który w ruinach Warszawy zaprowadza ład i porządek, od czasu do czasu przymykając oko w zamian za garstkę złotych monet.

Cały świat był teraz w rękach takich ludzi. Dlatego kiedy przyszedł mail od Amera, nie zastanawiałem się długo. Jeśli tak ma wyglądać renesans, to ja wolę zginąć razem ze średniowieczem.

Po śniadaniu zabrali nas do autokaru. Miał zamalowane okna, więc nawet nie wiedziałem, którędy nas wiozą. Podróż minęła mi przy akompaniamencie pieśni religijnych lecących z głośników. Z nudów przeglądałem ulotki w kieszeni fotela — mapa dostępnych dla pielgrzymów sanktuariów na terytorium „ziemi świętego Wojciecha”, wielojęzyczna broszurka o historii Santa Hermandad, łopatologiczna infografika, gdzie można adorować relikwie jakiego świętego (tu brat Albert, tam ksiądz Jerzy, tu Jan Paweł II, tam Maksymilian Kolbe), informacje o tym, jak się poruszać po warszawskiej „zielonej strefie”.

Dowiedziałem się z niej, że w obrębie strefy wszyscy są bezpieczni, ale pod żadnym pozorem nie należy się zbliżać do strażników na punktach kontrolnych z własnej inicjatywy. Należy czekać, aż dadzą znak, że wolno podejść. W sumie nie miało to dla mnie

Historia, Katastrofa,
Pozycja społeczna, Ambicja

⁵*ordo caritas* (łac.) — porządek miłosierdzia; hierarchia miłosierdzia. [przypis edytorski]

większego znaczenia, bo plan był taki, że przez punkt kontrolny przeprowadzi mnie brat Jorge.

Z autokaru wysadzili nas na placu Wilsona. Ledwie go poznałem. To kiedyś było serce dzielnicy Żoliborz. Teraz — gigantyczny parking dla autokarów, którymi wożono pielgrzymów i dla embraerów, którymi po Warszawie poruszało się Santa Hermandad.

Brazylijska firma, która słynęła kiedyś z produkcji samolotów⁶, wyprodukowała prototyp takiego łazika jeszcze przed zarazą. Był dla niej wybawieniem, bo potem popyt na nowe samoloty drastycznie spadł, a te łaziki, początkowo przeznaczone do poruszania się po brazylijskim interiorze, okazały się wręcz stworzone dla postapokaliptycznej Europy Wschodniej.

Embraer miał kształt cygara, mieszczącego kabinę na kierowcę i pięciu pasażerów, zawieszono go na sześciu nogach. Kroczył jak pajak, mogąc kabinę wywindować na jakieś dwa metry — dość, żeby cygaro przemykało nad wrakami samochodów i innymi przeszkodami ulicznymi. Nigdy czymś takim nie podróżowałem, a że przed zagładą należałem do ludzi pasjonujących się technologicznymi nowinkami, nawet trochę cieszyłem się z tego, że świat cywilizacji przynajmniej pożegniam w najnowocześniejszym pojeździe, jaki ma do zaoferowania.

Zgodnie z umową brat Jorge czekał na mnie pod kościołem św. Stanisława Kostki. Był w cywilnym ubraniu. Przywitał mnie, nie wiedząc czemu, łacińskim „salve!” i bez dalszych słów zabrał do swojego embraera. Nie wiedziałem, jak się zachować, bo teoretycznie to, co robiliśmy, było nielegalne, więc po prostu podążałem za nim.

Inna sprawa, że już w samolocie zauważyłem, że znaczna część „pielgrzymów” przyleciała tutaj w interesach. Okupowana Warszawa była rajem dla przemytników, szabrowników i spekulantów. Różniłem się od nich tylko tym, że chciałem przemycić wyłącznie samego siebie — a cel mojej podróży, jak wynikało z wczorajszej rozmowy, był miejscem, którego unikały nawet patrole Bractwa. Co zresztą czyniło mnie tylko jeszcze groźniejszym przestępcą w świetle nowych praw rządzących miastem.

Embraer brata Jorge stał wśród drzew, opodal kościoła. Czy może raczej powinienem powiedzieć — spoczywał, bo te pojazdy bardziej przypominały zwierzęta niż maszyny. W stanie spoczynku kabina leżała na ziemi, żeby łatwiej było wsiąść. Embraer wyglądał więc trochę jak warujący pies, o ile można sobie wyobrazić wielkiego, sześcionogiego, metalowego psa.

Gdy się zbliżyliśmy, automatycznie otworzył drzwi po obu stronach. Uniosły się w górę, niczym w DeLoreanie⁷ z lat 80. Teraz wyglądało to tak, jakby ten sześcionogi pies miał na dodatek skrzydła.

Usiadłem na miejscu dla pasażera i zapiąłem pasy. Brat Jorge zajął stanowisko kierowcy i kilka razy dotknął rozświetlonego panelu sterującego. Drzwi opadły, cygaro się wzniosło i pojazd ruszył w stronę pobliskiego punktu kontrolnego. Dzięki automatycznej stabilizacji w ogóle nie czuło się kołysania — wrażenie było takie, jakbyśmy szybowali dwa metry nad ulicą.

Stojący w otoczonej workami piasku strażnicy zakonnik w mundurze Bractwa zasalutował nam i rozsunęła się pancerna brama. Przez panoramiczną szybę mogłem podziwiać widok nowej Warszawy, już poza zieloną strefą dla pielgrzymów.

To była ulica Krasieńskiego — tyle pamiętałem z geografii miasta. Zgodnie z projektem sprzed stu lat, środkiem biegł pas zieleni, na którym wyrósł porządnym, brzoźowy zagajnik. Z obu stron spoglądały na nas martwe okna opuszczonych kamienic. Embraer z gracją kroczył nad wrakami samochodów, porzuconych na jezdni przez umierających kierowców.

Na skrzyżowaniu z Popieluszki wraków było wyjątkowo dużo. Mogłem się domyślić, że tramwaj uderzył w autobus, potem w karambolu uczestniczyły samochody osobowe

⁶Brazylijska firma, która słynęła kiedyś z produkcji samolotów — chodzi o Embraer (skrótowiec od: Empresa Brasileira de Aeronáutica S.A.), brazylijską wytwórnię lotniczą. [przypis edytorski]

⁷DeLorean — dwuosobowy samochód sportowy produkowany seryjnie przez DeLorean Motor Company w latach 1981–1983; jedyny samochód produkowany przez to przedsiębiorstwo, zw. też: DMC. Nadwozie samochodu miało futurystyczny w l. 80 XX w. kształt klina, karoserię z odpornej na korozję, nielakierowanej stali oraz charakterystyczne, podnoszone do góry drzwi typu skrzydła mewy. [przypis edytorski]

i nawet jakaś ciężarówka. Wraki były już mocno skorodowane, a do tego zaczęła je obrastać roślinność.

Brat Jorge zauważył minę, z jaką to obserwowałem, bo odezwał się wtedy jedyny raz podczas tej podróży:

— Są w Warszawie miejsca, które wyglądają jeszcze gorzej. Na obwodnicy było najgorzej.

Kiwnąłem głową. O karambolu na obwodnicy słyszałem wtedy z radia. Zaraza trwała od dwóch dni. Pierwsze wiadomości były utrzymane w tonie niemalże żartobliwym, że oto epidemia chorobliwej senności, ha ha, mniej balujmy.

Potem było już o wypadkach śmiertelnych, potem o wielkim karambolu na obwodnicy Warszawy, a potem — to było najbardziej przerażające — polskie stacje radiowe po prostu przestawały nadawać. Kabłówka też mi wysiadła, a razem z nią internet.

W tych ostatnich informacjach zalecano, żeby nie wychodzić z domu. Więc nie wychodziłem. Dopiero gdy na starym odbiorniku radiowym na falach krótkich złapałem BBC, dowiedziałem się, że zaraza nie zabija wszystkich, że dotyka niektórych „grup haplospecyficznych”. Nie od razu zrozumiałem, że ten politycznie poprawny eufemizm oznacza „rasę kaukaską” i że jestem bezpieczny dzięki swoim kubańskim genom.

Embraer dowiózł nas do ulicy Broniewskiego. Opuściliśmy przedwojenny Żoliborz, na którym mieszczańskie kamienice otaczały ulicę dostojnymi pierzejami, i weszliśmy w świat blokowisk budowanych w latach sześćdziesiątych zgodnie z utopijnymi wizjami Le Corbusiera⁸. Marzyły mu się wieżowce wśród ogrodów — teraz były to ruiny bloków zagubione w brzozyowym lesie, który wyrastał wszędzie wokół nas.

Obwodnicy na szczęście nie musiałem oglądać. Nad Broniewskiego przebiegała estakada. Embraer opuścił kabinę i przeszedł pod wiaduktem, jak wielbłąd przechodzący przez bramę starożytnej Jerozolimy.

W końcu ulica Broniewskiego się skończyła, dotarliśmy do ulicy Reymonta. Z poezji przeszliśmy w prozę, a ta doprowadziła nas do Conrada. W pierwszych latach niepodległej Polski nowo wytyczane ulice nazwano na cześć dziewiętnastowiecznych poetów romantycznych, którzy tę niepodległość wieszczyli — Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Spotykały się promieniście na placu prezydenta Wilsona, któremu Polska tę niepodległość faktycznie zawdzięczała.

Kolejną ulicę, budowaną już w komunistycznej Polsce, nazwano na cześć Broniewskiego — ten z kolei wieszczył Polskę ludową i egalitarną, w której wszyscy będą mieszkać w identycznych mieszkaniach w identycznych blokach. Kiedy zaś Warszawę w latach 70. rozbudowywano jeszcze dalej na północ, modne było podkreślanie naszych związków z Zachodem — na który się właśnie otwieraliśmy i który chętnie udzielał nam pożyczek. Dlatego ostatnią z ulic z tej serii nazwano na cześć Josepha Conrada. Po upadku komunizmu ulice nazywano na cześć generałów lub księży, ale już nie pisarzy.

Kościół Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych był architektonicznym paskudstwem z lat 90. Władze komunistyczne nie przewidziały go w planach, wierni więc znaleźli niewykorzystaną działkę na roku Reymonta i Conrada — nacjonalisty i kosmopolity. Ciekawe, czy by się polubili, gdyby się spotkali w prawdziwym życiu?

Bractwo zgodnie ze swoją polityką otoczyło kościół stalowym płotem, który znałem już z placu Wilsona. Kilka metrów od płotu biegła dodatkowa linia niewysokich zasieków. Embraer zatrzymał się przed nią, dzięki czemu mogłem przeczytać jedną z wielojęzycznych tabliczek ostrzegających, że działa tu automatyczny system bezpieczeństwa: ŚMIERTELNE NIEBEZPIECZEŃSTWO, *PELIGRO MORTAL*. O prawdziwości ostrzeżeń zaświadczały truchła zwierząt, które tych tabliczek nie przeczytały.

To był już koniec podróży. Brat Jorge spojrział na mnie wyczekująco. Nie od razu zrozumiałem, że czeka na wynagrodzenie. Podałem mu saszetkę z monetami. Nie przeliczył ich, od razu otworzył drzwi pasażera.

⁸*Le Corbusier*, właśc. *Charles-Édouard Jeanneret-Gris* (1887–1965) — pseudonim fr. architekta, urbanisty i artysty-plastyka, czołowego przedstawiciela międzynarodowego stylu modernistycznego; zafascynowany klarownością przestrzeni w klasztorach, swoimi projektami zrewolucjonizował architekturę i projektowanie wnętrz w latach 20 i 30. XX w.; styl architektoniczny wykreowany przez niego zyskał miano corbusierizmu. [przypis edytorski]

— To jest pańska ostatnia szansa — powiedział — Teraz wjadę na teren świątyni, dokonać przeglądu systemów bezpieczeństwa. Tak to muszę uzasadnić w raporcie. Kiedy zamknie się za mną brama, pan zostanie po tej stronie i już nigdy się nie zobaczymy.

— Odpowiada mi to — kiwnąłem głową, wziąłem torbę i wyskoczyłem z embraera. Drzwi zamknęły się za mną. Po chwili otworzyła się pancerna brama świątyni i embraer majestatycznie wmaszerował do środka.

Byłem sam na spękany asfalcie, z którego wyrastały pierwsze pędy drzew. Za parę lat jezdnię też pochłonie młody las, który rósł wokół mnie na niegdysiejszych trawnikach. Mimo to wciąż poznawałem swoją dawną okolicę — wiedziałem, gdzie była pętla autobusowa, gdzie bazar, gdzie przychodnia. Wystarczyły mi same sylwetki opuszczonych budynków, górujących ponad zaroślami.

Ruszyłem w stronę pętli po spękany asfalcie. To był w końcu przez wiele lat naturalny koniec i początek moich podróży. Nie zdążyłem jednak do niej dojść. Gdy sylwetka kościoła zniknęła za drzewami, z brzoźowego zagajnika nagle wyszły trzy postacie w mundurach wojska polskiego. Kobieta i dwóch przybocznych — od razu było widać, że ona tu dowodziła.

Wyglądali jak przegląd antropologiczny mieszkańców Warszawy, którzy przetrwali epidemię HSCV — kobieta, sądząc z urody, była pochodzenia arabskiego. Jej dwaj żołnierze to Mulat i Azjata. Jeśli dodać mnie, jako pół-latynosa, byliśmy w komplecie. Uśmiechnąłem się, choć tamci mieli twarze śmiertelnie poważne.

— Amer nie żyje. Zmarł dziś rano — odezwała się po polsku kobieta, bez żadnego wstępu czy przywitania — Chciał, żebyś został jego następcą. Zgadzasz się?

Z perspektywy czasu myślę, że powinienem był wcześniej domyślić się, dlaczego w ogóle Amer mnie tu zaprosił. Prawda jest jednak taka, że dopiero ta kobieta — wdowa po Amerze, jak się potem dowiedziałem — mi to uświadomiła.

Kiwnąłem głową. Czy w ogóle mogłem się nie zgodzić?

— To chodźmy — powiedziała i cała trójka zniknęła w zaroślach.

Poszedłem za nimi.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3..

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orlinski-ulica-conrada/>

Tekst opracowany na podstawie: Wojciech Orliński, Ulica Conrada, Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2023.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7331-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).